

VERTIGO

Napisała: Małgorzata Kondas

Ilustrował: Przemysław Woźniak



Kto nie miewał zawrotów głowy, nie wie jak uprzykrzoną są dolegliwością. Vertigo zaczęło się niespodziewanie trzy miesiące temu... Nie, żeby być ścisłą muszę wspomnieć, że cierpiałam na tę chorobę już od dzieciństwa, ale wtedy sama minęła, a teraz mam ją znowu.

Dla lekarzy byłam okazem zdrowia, bądź ciekawym przypadkiem. Jedni i drudzy przepisywali mi nieskuteczne leki, aż wreszcie pewien stary doktor doradził wyjazd na teren depresyjny. Niewiele jest w Polsce terenów, gdzie poziom lądu znajduje się poniżej poziomu morza, ale tak się szczęśliwie złożyło, że miałam dokąd pojechać. W małej wiosce na Żuławach pani Vera знаła pewną chłopkę, do której napisała list i otrzymała dla mnie zaproszenie.

Zdecydowałam się momentalnie. Letnia pora sprzyja wyjazdom, a moja obecność w Warszawie była naprawdę zbędna. Podróż minęła źle, ale przy takim stanie zdrowia nie mogłam przecież oczekiwać przyjemności z patrzenia na pola uciekające spod kół pociągu.

Na stacji czekała na mnie furka. Na szczęście wóz był wyposażony w gumowe koła i wyboista droga okazała się mniej uciążliwa niż mogłam przypuszczać. Przydrożne wierzby rzucały długie, rosochate cienie, a pasące się krowy przystawały lub podchodziły ciekawie. Woznica był zdania, że pozdrawiają mnie. Ja też tak uważałam. Rozmawialiśmy o zwierzętach, roślinach, ludziach. Stary człowiek był sąsiadem kobiety, u której wynajęłam pokój.

Dojeżdżaliśmy do wioski, kiedy nagły atak kazał mi ucześcić się jego rękawa, żeby nie zlecieć z wozu. Zatrzymał konia i ulokował mnie w pozycji półleżącej. Zamknęłam oczy, a on czekał cierpliwie, aż poczuję się lepiej i będziemy mogli jechać dalej. Wreszcie atak ustąpił. Wieża kościoła przestała wirować i wtedy... wydała mi się znajoma. Kościół był w stylu gotyckim: takich spoty-

ka się najwięcej. – Dlatego pewnie „rozpoznałam” go – pomyślałam.

Dom mojej gospodyni stał jako ostatni z drugiej strony wsi. On również wydał mi się znajomy, ale nie myślałam o tym, bo czułam się nadal bardzo kiepsko. Z trudem weszłam na górę do małego, przytulnego pokoiku i położyłam się do łóżka z prawdziwą ulgą. Zasnęłam zaraz, a następnego dnia, kiedy otworzyłam oczy, słońce stało już wysoko.

Patrzyłam przez okno na dwie wysokie sosny kołysane lekkim wiatrem. Zbliżały się do siebie i oddalały w jakimś dziwnym, tanecznym rytmie. Ich ruch odczuwałam jako narastające napięcie, które pękło w kulminacyjnym punkcie, u szczytu obu drzew, by zacząć swój taniec od nowa wzwyż, coraz wyżej.

– Nie! – krzyknęłam głośno i zakryłam twarz.

Kiedy znowu otworzyłam oczy był deszczowy dzień, a stara kobieta poila mnie jakimś ziołami o cierpkim smaku, które jednak dobrze zaspokajały pragnienie.

– Czy ja mam gorączkę? – spytałam.

– Już nie. Teraz szybko pani wyzdrowieje.

Gospodyni miała rację. Już nazajutrz czułam się całkiem nieźle, i miałam apetyt, a następnego dnia wstałam. Byłam słaba, ale nie kręciło mi się w głowie. Miałam jednak lęk przed stromymi schodami, postanowiłam więc tego dnia jeszcze zostać na gorze.

Dopiero teraz przyjrzałam się dokładnie wnętrzu, w którym spędziłam czas choroby. Przy ładnym staroświeckim łóżku stał stół nakryty serwetą z tego samego materiału w różową kratę, z jakiego uszyta była pościel i firanki. Pachnące róże umieszczone w prostym, glinianym dzbanku wyraźnie przypominały wzór tapety. Całość zaskakiwała harmonią kompozycji, tak bardzo nietypową dla polskich wiejskich chat. Moja myśl uległa jakiemuś dziwnemu roz-

dwojemu. Z jednej strony byłam zdziwiona, że prosta wiejska kobieta tak urządziła pokój, z drugiej jakbym go znała dawniej. Nie było w nim wtedy róż, ani różanej tapety, a sam pokój był jakby większy. Ściana za szafą, w której rozmieszczono moje rzeczy różniła się trochę od pozostałych. No, to wszystko się wyjaśnia. Pokój został wydzielony z większego pomieszczenia. Musiałam zauważyć to wcześniej i dedukcja dokonała się sama w podświadomości. To „dawniej” odnosiło się zarówno do chwili kiedy tu przyjechałam i nie było róż w dzbanku, a tapety po prostu nie zauważyłam, jak i do okresu sprzed podzielenia pomieszczeń.

Zadowolona ze swego dedukcyjnego myślenia postanowiłam sprawdzić, co znajduje się za drewnianą ścianą. Z małego korytarza na piętrze były jeszcze jedne drzwi prowadzące na strych. Właściwie była to taka sama mansarda, tylko nieurządzona. Stały tu skrzynie, beczki, jakieś stare części maszyn, których przeznaczenia nie domyślałam się, oraz sporo książek rozmieszczonych na półce, w tekturowych pudełkach i wprost na podłodze. Schyliłam się, żeby sięgnąć po jedną z nich, ale poczułam charakterystyczne ostrzeżenie przed zawrotem głowy. Wyprostowałam się wolno. Atak nie nastąpił. Na wszelki wypadek jednak zajęłam się książkami, które były dostępne bez konieczności wykonywania niebezpiecznego skłonu. Wybrałam z półki pierwszą lepszą. Okazała się nią stara książka kucharska. Nie lubię gotować, sięgnęłam więc po następną. Był nią podręcznik fizyki na poziomie akademickim sprzed dziesięciu lat. Nie umiałam ocenić, czy wiedza fizyczna posunęła się bardzo od tamtego czasu. Dla mnie była i tak za trudna. Natomiast bajka „O sierotce Marysi i krasnoludkach” nie straciła swojej aktualności. Odłożyłam książeczkę do ponownej lektury i zanim dotknęłam następnej poczułam na sobie

czyjś wzrok. Nie słyszałam żadnych kroków, a mimo to... Odwróciłam się gwałtownie.

Za mną stała gospodyni i uśmiechała się.

– Przyniosłam rosół z kury – powiedziała. – Musi pani zjeść zanim wystygnie.

– Tak – bąknęłam. Nie ruszałam się z miejsca. Może dlatego, że wbrew słowom kobieta stała w przejściu, jakby nie chciała mnie wypuścić ze strychu. Chwila niezdecydowania przedłużała się. Wreszcie zapałam odłożoną książeczkę Konopnickiej i ruszyłam w stronę wyjścia. W chwilę później nie umiałabym powiedzieć dlaczego zachowanie gospodyni wydawało mi się dwuznaczne. Rosół był pyszny, dodał mi sił. Postanowiłam zejść na dół. Schody nie były aż tak strome jak myślałam.

Stałam na dużym, prostokątnym podwórku przypominającym wszystkie podwórka jakie znałam. Ciemnorudy, pręgowany kot wygrzewał się na słońcu, nie zwracając uwagi na kury, które gromadnie do mnie podbiegły. Kiedy stwierdziły, że niczym ich nie poczęstuję, zaczęły rozchodzić się zwolna. Gospodyni była zajęta pieleniem warzywnika. Wzięłam kota na ręce i podeszłam, żeby z nią pogawędzić. Nie bardzo wiedziałam od czego zacząć. Głaskałam kota i rozglądałam się po obejściu. Z tej strony dobrze było widoczne okno mego pokoju. Wtedy nagle spostrzegłam, że coś się nie zgadza. Nie tak wyobrażałam sobie to miejsce oglądając je przez okno.

– Gdzie są sosny? – spytałam gospodynię.

– Tu nie ma żadnych sosen – odpowiedziała nie przerywając pracy.

No tak. Powinnam wiedzieć od razu. Dwie kołyszące się sosny to koszmar z dzieciństwa. Widuję je zawsze podczas gorączki. Taka trwała blizna na psychice po przebytej chorobie. Dobrze, że tylko taka. Obawiano się znacznie gorszych skutków. Niewykluczone, że ten

nawrót vertigo ma jakiś związek... Lepiej nie rozpamiętywać i zająć się dniem dzisiejszym.

– Skąd ma pani te książki na strychu? – Spytałam.

– Letnicy pozostawiali.

– Wielu ich musiało być i dużo czytali.

– E, nie. Tu rzadko kto przyjeżdża. Prawdę mówiąc nie ma po co. Brak gór, jezior, czy choćby lasów. Większość tych tam książek zostawił profesor.

– Kto taki?

– Nazwaliśmy go profesorem, kiedy okazało się, że nie jest geodetą.

Nie bardzo rozumiałam, co kobieta miała na myśli, ale postanowiłam nie dopytywać. Może sama wyjaśni. Skończyła pielenie grządki i przysiadła obok mnie na drewnianej ławce.

– Mogło się dla niego źle skończyć – podjęta na nowo. – Chodził po polach i mierzył, a ludzie tego bardzo nie lubią. Kiedy gruchnęła wieść, że jakiś z miasta mierzy łąki, nic nikomu nie mówiąc, ludzie zebrali się i ruszyli gromadą. Każdy wziął co tam miał pod ręką: kosy, widły, drągi. Tak, jak lisa próbowali zagonić go między chałupy. Moja była na skraju, więc tu się schronił. Nie rozumiał czego od niego chcą. Wyjaśnił, że wcale nie jest geodetą, że mierzy jakąś siatkę szwajcarską. Nikt o takiej nie słyszał. Ludzie nie wiedzieli, czy mu wierzyć, ale rozeszli się wreszcie. Od tamtego razu profesor przyjeżdżał co roku i zatrzymywał się u mnie. Na dole są dwie izby, on jednak wolał na górze. Pomógł mi przedzielić strych i razem urządziliśmy tamten pokój.

– To on wybrał tę tapetę w róże?

– Nie było co wybierać. Taką przywieźli do GS-u.

– W tym roku nie przyjechał?

– Już trzeci rok go nie ma. Nie wiem co się stało. Nie zostawił adresu. Wiem tylko, że mieszkał we Wrocławiu, bo stamtąd przychodziły listy kiedy uprzedzał o swoim przyjeździe. Zawsze przy-

woził pół walizki książek, a potem ich nie zabierał. Mówił, że mu za ciężko. Ot i uzbierało się.

– Ta o krasnoludkach, to chyba nie jego książka?

– Nie. – Kobieta zabrała się do pielenia następnego zagonka cebuli bez jakichkolwiek dalszych wyjaśnień.

Poszłam do siebie na górę. Położyłam się na łóżku i zabrałam do lektury przywiezionej przez siebie książki, ale pseudoartystyczny bełkot antypowieści okazał się nie na moje nerwy. Sięgnęłam po Konopnicką. Kiedy otworzyłam książeczkę wypadła z niej karta. Pożółkły, kratkowany papier, wyrwany zapewne z zeszytu pokryty był niewyrobionym pismem, za to czytelnym mimo wyblakłego atramentu. Zawierał dziwaczną nieco treść, urywek bez początku i końca:

..... ludzie są istotami inteligentnymi, chociaż trudno by ich nazwać rozumnymi. Nastąpiło u nich niebezpieczne rozdwojenie pragnień i możliwości. Cywilizacja, jaką stworzyli jest oparta na niezwykłej wprost ślepotcie. Nie odkryli podstawowych praw kosmicznych; to co nam pozwala pokonywać przestrzeń, oni uznali za niemożliwe. Ich pojęcie grawitacji jest szalenie uproszczone. Przyznać jednak trzeba, że mimo tej wrodzonej ślepoty zbudowali sporo w swoim oczywiście wąskim zakresie. Wspomniane 'rozdwojenie pragnień i możliwości uwikłało ich w paradoksalną sytuację. To co wymyka się doświadczeniu pozostawili w sferze wierzeń, których za nie nie chcą naruszyć. Wyobrażacie sobie, że oni w ogóle nas nie spostrzegają, a jeżeli nawet, to w opowieści o UFO wierzą tylko nieliczni. Natomiast większość z nich wierzy w Boga przedstawionego w postaci człowieka o nieograniczonych możliwościach. Obdarzyli go na dodatek takimi cechami, jak miłosierdzie i sprawiedliwość, nie widząc żadnych sprzeczności, mimo codziennych doświadczeń. Stale

go molestują o rozliczne łaski w zamian za pochlebstwa, których nie szczędzą, bo w gruncie rzeczy niczego się tak nie obawiają, jak jego mściwości...”

Cóż za dziwny tekst. Czy pisał go ten profesor od siatki szwajcarskiej? Czemu wyznaczał ją tak uporczywie akurat tutaj? Czy odkrył jakieś ciekawe anomalie? Jeżeli nawet, to nie należy tych spraw ze sobą wiązać. Tekst przecież jest wyraźnie urywkiem utworu science fiction i niczym więcej. Profesor mógł lubić ten typ literatury – to wszystko.

Ale tajemnicza kartka nie dawała mi spokoju. Kiedy schodziłam na kolację wzięłam ją z sobą i pokazałam właścicielowi domu.

– Czy to pisał profesor? – Spytałam.

– Gdzie ją pani znalazła? – Gospodyni była poruszona dziwnym tekstem bardziej niż mogłam przypuszczać.

– W książeczce dla dzieci.

– A więc tam ją Małgosia ukryła! Powinłam się była domyślać.

– Jaka Małgosia?

– Och, to dziwaczna historia. Nie lubię jej opowiadać, bo ludzie mają mnie za wariatkę i...

– I có? – nalegałam. – Mnie może pani zaufać.

– Tu nie ma co ufać lub nie. Stara sprawa, jeżeli pani koniecznie chce...

Chciałam i gospodyni opowiedziała mi historię, która wydaje się rzeczywiście mało prawdopodobna.



Wiele lat temu zatrzymała się tu pewna kobieta z dzieckiem. Dziewczynka nie była jej córką, tylko siostrzenicą. Nudziły się obie, bo nie miały dokąd chodzić, w sąsiedztwie nie było dzieci. Małgosia całe dni przebywała w towarzystwie swojej ciotki, gospodyni i jej teściowej, starej zręcznej kobiety, która na szczęście większość czasu spędzała w kościele. Aha, była jeszcze kotka – praprababka obecnego Rudouszka.

Jej towarzystwo dziewczynka przekładała nad inne i była to sympatia ze wzajemnością, co później okazało się bardzo ważne. Popołudniami ciotka zmuszała dziewczynkę do nauki, chociaż były przecież wakacje. Mała wyglądała na nie więcej jak siedem lat, ale mogła być trochę starsza.

Po śniadaniu zwykle razem karmiły kury. Któregoś dnia zabrakło ziarna i trzeba było iść aż na strych. Kiedy gospodyni wróciła, Małgosi na podwórku już nie zastała.

– Dzieci lubią się chować – pomyślała. Zrazu nikt nie zważał na dziecinne figle, ale przedłużająca się nieobecność Małgosi zaniepokoiła dorosłych. Około południa szukali jej wszyscy. Ofiarnych poszukiwaczy przybywało, mimo to do nocy nie natrafiono na żaden ślad.

Kiedy nazajutrz około piątej rano gospodyni doiła krowę, do obory przyszła zapłakana ciotka Małgosi. Obie zastanawiały się co dalej robić, a kotka płała im się pod nogami, nie chciała pić mleka, co chwilę podchodziła do drzwi i zawracała.

– Ona nas dokądś prowadzi – zauważyła ciotka i obie wyszły na podwórze. Kotka poszła prosto do bramy, od czasu do czasu oglądała się czy za nią idą. Zaprowadziła kobiety w pobliski zagajnik, który poprzedniego dnia został bardzo dokładnie przeszukany. Małgosia leżała na środku małej polanki. Nieprzytomną zaniecono do domu. Kiedy otworzyła oczy, nic nie pamiętała od chwili karmienia kur, aż do momentu przebudzenia się w łóżku.

Teściowa poleciała po księdza, a z nim przyszło paru ciekawskich, zobaczyć jak będzie wyganiał diabła, ale gospodyni wszystkich wyprawiła do diabła, żeby dali dziecku spokój.

– To rzeczywiście dziwna historia – przyznałam. – Czy pamięta pani nazwisko dziewczynki albo ciotki?

– Nie. To jeszcze nie koniec historii. Najważniejsze zaczęło się w parę dni

... ludzie są istotami inte-
ligentnymi, chociaż tru-
dno by ich nazwać rozum-
nymi. Nastąpiło u nich
niebezpieczne rozdwojenie
pragnień i możliwości.
Cywilizacja, jaką stwo-
rzyli jest sparta na ~~na~~
niezwykłej wprost ślepotie.
Nie odkryli podstawowych
praw kosmicznych; to co
nam pozwala pokonywać
przestrzeń, oni uznali
za niemożliwe. Ich
pojęcie grawitacji jest
szalenie uproszczone.
Przyznać jednak trzeba,
że mimo tej wrodzo-
nej ślepoty zbudowali
sporo w swoim aktyw-
nie wąskim zakresie
przemyśle i



później. Dziewczynka odrabiała znowu jakieś tam lekcje, a jej ciotka zajęta własną lekturą nie zwracała uwagi na małą. Kiedy odłożyła książkę zobaczyła, że Małgosia siedzi z głową opartą na lewej ręce, którą zasłania sobie oczy, a mimo to prawą ręką pisze. Ciotka zaskoczona zachowaniem dziewczynki cicho stanęła za jej plecami i czytała tekst. Z całą pewnością nie były to dziecinne opowiastki.

– Co ty robisz, Małgosiu? – spytała.

Mała spojrzała na nią trochę nieprzytomnie, a potem odpowiedziała całkiem rezolutnie:

– Przecież chciałaś, żebym ćwiczyła pisanie.

– Rozumiesz co piszesz?

– Tak – odpowiedziała zdecydowanie, w nadziei, że ciotka nie każe jej czytać.

– Co to jest UFO?

– Jakie UFO?

– No, to, o którym piszesz.

– Boli mnie głowa – odpowiedziała, jak zwykle odpowiadała na trudne pytania.

Ciotka dziewczynki pokazała mi tekst. Obydwie zastanawialiśmy się co może oznaczać. Rozważaliśmy, czy nie poradzić się lekarza, ale w końcu uradziliśmy, że nic nie należy robić. Moja teściowa, której nikt o zdanie nie pytał, miała odmienny pogląd.

Przez następne dni Małgosia siadała do pisania przez nikogo nie zachęcana i wypisywała takie dziwne teksty, jak ten, który pani znalazła.

– Dużo tego było?

– Skoro. Wszystkie przypominały fragmenty jakiejś książki, czy książek. Zaczynały się i urywały nagle.

– Co się z nimi stało?

– Właśnie. Ciotka zbierała je, żeby po powrocie do miasta pokazać jakiemuś psychiatrze, czy komuś takiemu. A moja teściowa w tym czasie chodziła po wsi i opowiadała plotki. Nie przypuszcza-

łam, że może z tego coś niedobrego wyniknąć, a jednak... Któregoś dnia odwiedził nas ksiądz i poprosił, żeby ciotka dziewczynki pozwoliła mu zapoznać się z tekstami. Początkowo nie chciała, ale wreszcie uległa perswazjom. Pożyczyła notatki na jeden dzień. Ksiądz rzeczywiście przyszedł nazajutrz, ale zamiast papierów przyniósł ze sobą święconą wodę. Mimo protestów ciotki, moich i samej dziewczynki, z pomocą paru dewotek odprawił nad małą egzorcyzmy. Małgosia doznała szoku. Wyjechały następnego dnia.



Opowieść gospodyni zrobiła na mnie wrażenie. Zastanawiałam się, czy to nie ja jestem tamtą małą Małgosią. Imię noszę na tyle pospolite, że nie może o niczym świadczyć. Ciotek mam trzy i nieraz w dzieciństwie mama podrzucała mnie którejs. Czy jednak możliwe żebym sama nic nie pamiętała? Jeżeli nawet, to fama rodzinna powinna opowiadać o moich niezwykłych wypadkach. Chyba, że... Chyba, że ciotka bała się przyznać mamie, a ja sama wszystko zapomniałam. To zbyt fantastyczne. Gdybym jednak poznała tamtą polanę...

– Czy profesor interesował się miejscem w lesie, na którym znaleziono Małgosię?

– Tak, opowiedziałam mu całą historię. Badał tamten teren. Mówił, że siatka szwajcarska ma tam większe oczka i występuje zawirowanie grawitacji.

– Zawirowanie grawitacji – co to takiego?

– Nie wiem.

– Pokaże mi pani tę polankę?

– Ścieżka za domem sama zaprowadzi. Nie można zabłądzić.

Nie będę tała, że byłam pełna emocji, kiedy dotarłam na tajemnicze miejsce. Niewielka, zielona polanka robiła wrażenie bardzo zwyczajne. Rosła na niej

trawa odrobinę bujniejsza niż gdzie indziej, ale za to częściowo wyskubana przez bydło. Ścieżka gubiła się od razu na brzegu, można ją było jednak odnaleźć po drugiej stronie niewielkiego lasku, za którym w oddali prześwitywały znów pola. Stałam po środku łączki i rozejrzałam się uważnie. Nie, stanowczo byłam tu obca, niczego nie poznawałam. Nie wykluczone, że jest to miejsce w jakiś sposób szczególne, ale ja nie odczuwałam absolutnie nic, prócz lekkiego rozczarowania. Zrobiłam krok w kierunku domu i... zaczęło się. Gwałtowny atak zawrotu głowy zmusił mnie żebym położyła się na trawie. Zamknęłam oczy i czekałam aż minie. Zwykle nie trwa dłużej niż parę minut.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju na piętrze byłam podwójnie zawiedziona. Po pierwsze moje vertigo nie ustąpiło, jak zapewniał lekarz, po drugie nie byłam tamtą tajemniczą Małgosią o darze automatycznego pisania. Mój spacer i pobyt na polanie trwał dokładnie pół godziny i ani przez moment nie utraciłam świadomości.

Żeby nie myśleć o kłopotach postanowiłam przewertować dokładniej bibliotekę profesora, w nadziei, że znajdę coś naprawdę zajmującego. Wybrałam kilka książek i wróciłam do pokoju. W jednej z nich znalazłam cienki zeszyt z zapisanymi tylko dwiema stronami, tym samym co poprzednio charakterem pisma:

„... – Wspomniałeś jednak o inteligencji...”

– Tak, chociaż bardzo wiele wysiłku wkładają w godzenie wierzeń z odkryciami naukowymi, które je wykluczają. Potrafią rozdzielić rozum od emocji i to właśnie nie pozwalała im scalić spojrzenia na otaczającą ich naturę.

– Zdarzają się przecież jednostki...

– I owszem. Dawniej palono na stosie kobiety obdarzone zdolnościami, które nazywali nadprzyrodzonymi. Teraz usiłują badać te zjawiska przy pomocy prymitywnych urządzeń. Biograwitacja jest rzadko przez nich zauważana, nie umieją jej wywoływać.

– Co z naszym eksperymentem?

– Niestety. Nadal brak pozytywnych wyników. Nie można zakodować nic w ich podświadomości. Mają swego rodzaju barierę immunologiczną odrzucającą wszczepione myśli. Ich pamięć jest tak zbudowana, że odrzuca całe doświadczenie życia ziemskiego, albo wszystko to czego doświadczyli u nas. Odsyłanie z powrotem na Ziemię ciał ludzi, którzy nie mogliby porozumieć się ze swoimi ziomkami nie miałyby sensu. Natomiast ci, którzy wracają pamięcią do swoich ziemskich doświadczeń nie są w stanie przekazać nic sensownego. Cała edukacja idzie na marne. Wiążemy jeszcze słabą nadzieję z pewną dziewczynką o szczególnych uzdolnieniach. Podczas krótkiego u nas pobytu przeszła pozytywnie większość testów. Czekamy aż dorośnie, żeby spróbować indukcji pola grawitacyjnego o szczególnej intensywności. Miejmy nadzieję, że skutki nie ograniczą się tylko do wywoływania vertigo...”

